

Prześladowana za związek

5 lutego 2014

Wielkie media są pełne sloganów o wszechmocnych związkach zawodowych, które terroryzują pracodawców, a ich liderzy to bezkarni i wszechpotężni watażkowie. Rzeczywistość jest całkowicie inna. Rozmawiamy o tym z Justyną Chrapowicz, przewodniczącą organizacji zakładowej NSZZ „Solidarność” w Lidlu, niedawno zwolnioną z pracy za działalność związkową i dążenia do poprawy ciężkiej doli pracowników tej firmy.

BARTOSZ OSZCZEPALSKI: Jaki był powód zwolnienia Pani z pracy?

JUSTYNA CHRAPOWICZ: Wypowiedzenie otrzymałam przed świętami. To taki „prezent” od pracodawcy. Użyto absurdałnych argumentów. Zarzucono mi między innymi to, że posługiwałam się dokumentami i pismami, pod którymi znajdowały się rzekomo podrobione podpisy członków „Solidarności”. Chodziło o korespondencję pomiędzy związkiem a pracodawcą. Pojawił się także zarzut organizowania bezprawnych demonstracji. Zwolniony z pracy został też mój zastępca, ale tylko ja byłam na etacie związkowym. Przy okazji podważano również to, że ten etat powinien istnieć. Do jego utworzenia wymagana jest liczba 150 pracowników zrzeszonych w związku. Pracodawca twierdził, że nie mamy tylu członków. Wszystkie te zarzuty są oczywiście nieprawdziwe.

Moim zdaniem bezpośrednim powodem zwolnienia nas było wszczęcie sporu zbiorowego i domaganie się utworzenia Funduszu Socjalnego. Firma zatrudniająca 12 tys. pracowników nie odprowadza składek na Zakładowy Fundusz Świadczeń Socjalnych. Nie jesteśmy „roszczeniowcami”, wbrew temu, co się o nas często mówi. Fundusz socjalny w takiej firmie powinien być normą. Zamiast jednak zgodnie z prawem rozpocząć niezwłoczne negocjacje prowadzące do porozumienia, pracodawca wręczył nam zwolnienia dyscyplinarne.

– O które „bezprawne” demonstracje dokładnie chodzi?

– W moim miejscu pracy w Łodzi kilka tygodni temu organizowaliśmy akcję płacenia jednogroszówkami przy kasach, aby zablokować ruch i zwrócić uwagę na złe warunki pracy w Lidlu. W sklepach rosną obroty, ale liczba pracowników zmniejszyła się w porównaniu z sytuacją sprzed kilku lat. W efekcie musimy pracować dłużej, dostajemy często nadgodziny. Ponadto chociaż pracujemy ciężko i długo, to wielu pracowników jest zatrudnionych na niepełny etat. Zbyt mała liczba zatrudnionych jest największym naszym problemem, bo z tym wiążą się inne kwestie. Choćby niemożność wzięcia urlopu w odpowiednim czasie właśnie dlatego, że pracowników jest za mało i każdy jest potrzebny.

Dlatego domagaliśmy się zatrudnienia większej ilości pracowników i zapewnienia całych etatów. Zarzucono nam, że ten oraz inne protesty były bezprawne, bo nie wyczerpaliśmy procedur przy rozwiązywaniu sporów zbiorowych. Stwierdzono również, że przeszkadzaliśmy kasjerom w pracy. Tymczasem to nie my (organizacja zakładowa w Lidlu) byliśmy organizatorami tej akcji, lecz regiony „Solidarności”, a sporu zbiorowego jeszcze wtedy nie było, więc nie może być mowy o nieprzestrzeganiu ustawy o sporach zbiorowych. Tego typu akcje odbyły się również w wielu innych miastach Polski, m.in. w Białymstoku, Poznaniu, Katowicach, Warszawie, Jeleniej Górze i Zielonej Górze.

– Jakie były reakcje klientów sklepu na waszą akcję?

– Bardzo różne. Zdarzały się oczywiście chamskie odzywki i wyzwiska, ale większość reakcji była pozytywna. Gdy klienci dowiadawali się, dlaczego protestujemy, to mówili, że w takiej sytuacji powinniśmy robić to codziennie.

– Wspominała Pani, że od dłuższego czasu współpraca z pracodawcą nie układała się dobrze. Czy szefostwo już wcześniej wysyłało sygnały, że wasza działalność nie jest

dobrze postrzegana przez nich?

– Konflikt na linii związek-pracodawca narastał od dłuższego czasu. Firma utrudniała działalność związku zawodowego. Mieliśmy problemy z biurem, nie dostarczano nam stosownych dokumentów, nie było żadnego dialogu. Gdy pojawiały się jakieś problemy, a my je zgłaszaliśmy, to spotykało się to z brakiem zrozumienia. Pracodawca powoływał się na skomplikowane procedury. Co ciekawe, w Kauflandzie, który należy do tej samej grupy kapitałowej co Lidl, prowadzi się normalny dialog ze związkami zawodowymi, a nas się jawnie dyskryminuje.

– Co zamierzacie zrobić teraz?

– Nie zostawimy tak tej sprawy. Czujemy się pokrzywdzeni i będziemy odwoływać się do sądu. Nawet Państwowa Inspekcja Pracy zgłaszała nam problemy ze współpracą z Lidle. Firma nie chce wydać kontrolerom PIP odpowiednich dokumentów w terminie, grają na czas. Ostatnio otrzymaliśmy informację od PIP, że pracownicy nie mają zagwarantowanego należytego odpoczynku dobowego i tygodniowego, pracodawca nie zapewnia jednej niedzieli wolnej w miesiącu, stwierdzono nieprawidłowości w udzielaniu przerw pracowniczych, wstępnych szkoleń BHP i wiele innych. To się naprawdę w głowie nie mieści, że tak duża i znana firma pozwala sobie na takie rzeczy.

– Czy według Pani można powiedzieć, że związkowcy są w Polsce prześladowani za swoją działalność?

– Niestety tak i nie tylko nasza sprawa jest tego dowodem. Ostatnio zwolniono również związkowców z Dino Polska. Takie sytuacje w naszym kraju zdarzają się nagminnie, a pracodawcy bardzo często są bezkarni i nie nakłada się na nich odpowiednich sankcji. Prawo w Polsce sprzyja bardziej im niż pracownikom. A my przecież nie domagamy się od pracodawców żadnych przywilejów, tylko zwykłego szacunku. Dodatkowo cały czas pojawiają się szkodliwe pomysły niektórych polityków i środowiska biznesowego, takie jak likwidacje etatów

związkowych. Gdyby nie te etaty, to związkowcy nie byłiby w stanie prowadzić normalnej działalności. No bo niby jak? Pracować w zakładzie i jeszcze po godzinach zajmować się sprawami pracowników? Proszę sobie wyobrazić, że musiałabym teraz objechać 500 sklepów Lidl w całym kraju, nie mając etatu związkowego. Jest to po prostu niemożliwe.

– Czy ta nieprzyjemna sytuacja nie zdławi Pani oporu? Będzie Pani nadal udzielać się społecznie w związku?

– Oczywiście nadal będę działać. Dołożę wszelkich starań, żeby móc nadal pomagać ludziom. Chcę to robić, dopóki będę mieć taką możliwość.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Bartosz Oszczepalski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)